

JAMES PATTERSON

ZABIĆ ALEXA CROSSA



NAJBARDZIEJ PRZERAŻAJĄCA SPRAWA CROSSA
MOŻE BYĆ JEGO OSTATNIĄ

Księga pierwsza

Nieobecni

Rozdział 1

Zacząło się od dzieci prezydenta Coyle'a, Zoe i Ethana, które cały świat znał co najmniej od dnia przybycia do Waszyngtonu. Wcześniej zapewne też.

Dwunastoletni Ethan Coyle sądził, że potrafi żyć na widoku, pod ciągłą obserwacją. Prawie nie zwracał uwagi na ekipy telewizyjne obozujące pod bramą Szkoły Branaffa. Nie przeszkadzało mu jak kiedyś, że dzieciaki, których prawie nie znał, próbowały fotografować go na korytarzu, na sali gimnastycznej, nawet pod szkolnymi prysznicami.

Czasami udawał, że jest niewidzialny. Dziecinne to było, zwykła bzdura, ale co z tego? Najważniejsze, że pomagało. Powiedział mu o tym sposobie jeden z sympatyczniejszych agentów Secret Service. Twierdził, że używała go Chelsea Clinton. Kto wie, może nawet mówił prawdę?

Ale kiedy tego ranka Ethan zobaczył idącego w jego stronę Ryana Townsenda, natychmiast pożałował, że nie potrafi naprawdę zniknąć.

Ryan Townsend zawsze miał coś przeciwko niemu, i to nie były żadne przywidzenia, czego dowodziły sińce: świeże i już przybladłe. Takie ślady pojawiają się po mocnym uderzeniu albo bolesnym ściśnięciu.

– Hej, Coyle'u Pryszczu! – krzyknął Townsend.

Maszerował szkolnym korytarzem. Od razu było widać, co mu chodzi po głowie. – Kiepsko ci się zaczął dzień, Pryszczu?

Ethan był za mądry, żeby wdawać się w dyskusję ze swym osobistym prześladowcą i katem. Natychmiast skręcił w lewo, w stronę szafek, i to był jego pierwszy błąd. Trafił w ślepą uliczkę. Poczł ostry, przyprawiający o mdłości ból nogi. Townsend go kopnął! I minął, nawet nie zwalniając. Nazywał to załatwianiem sprawy „w locie”.

Jedno się Ethanowi udało: nie krzyknął z bólu ani nawet się nie potknął. Już wcześniej postanowił sobie, że nikt nie zobaczy, co czuje. Upuścił książki, przykleknął, żeby je podnieść. Zrobił z siebie ofermę, ale przynajmniej odciążył obolałą nogę i nie pokazał światu, że służy Rayowi Townsendowi za worek treningowy.

Tylko że tym razem ktoś wszystko widział, i nie był to agent Secret Service.

Ethan chował kartkę z wykresami do teczki z zadaniami matematycznymi, kiedy usłyszał znajomy głos:

– Hej, Ryan, a ty dokąd?

Podniósł wzrok. Jego czternastoletnia siostra Zoe właśnie zastępowała Townsendowi drogę.

– Wszystko widziałam – oznajmiła. – Myślałaś, że nie zobaczę?

Townsend przechylił na bok głowę w blond lokach.

– Nie wiem, o czym ty, do diabła, mówisz. Pilnuj własnego nosa, żeby ci go ktoś nie utarł.

W dłoniach Zoe pojawił się jakby znikąd ciężki żółty podręcznik. I poruszał się szybko. Trafiła nim chłopaka prosto w twarz, aż z nosa połała się krew. Townsend zachwiał się i cofnął. Co za wspaniałe widoki!

W tym momencie zabawa się skończyła, bo do akcji wkroczyli agenci Secret Service. Agent Findlay powstrzymał Zoe, a agent Musgrove wcisnął się pomiędzy Ethana a Townsenda. Tłum szósto-, siódmo- i ósmoklasistów gapił się na scenę jak na nowy reality show *Dzieci prezydenta*.

– Totalne z was ofiary! – krzyknął za rodzeństwem Townsend. Krew kapłała mu z nosa na szkolny krawat i białą koszulę. – Co za para pawianów! Musi was bronić to wasze SS!

– Powiedz to mojemu podręcznikowi do algebry! – odkrzyknęła Zoe. – I trzymaj się z dala od mojego brata. Jesteś większy i starszy od niego, dupku. Co za dureń!

Tymczasem Ethan stał przy szafkach, wśród rozrzuconych po podłodze drobiazgów. Przez sekundę, może dwie, udawał, że jest częścią obserwującego tę scenę tłumu, zwykłym, anonimowym dzieciakiem, który tylko przygląda się rozpętanemu nagle szaleństwu.

Jasne, pomyślał. Może w przyszłym życiu.

Rozdział 2

Agent Findlay szybko i sprawnie przepchnął Ethana i Zoe daleko od gapiów i, gorszych od gapiów, dzieciaków trzymających iPhone'y w uniesionych rękach. Witaj, YouTube! W kilka sekund wprowadził rodzeństwo do pustego audytorium szkoły, do którego wchodziło się z głównego korytarza.

Szkoła Branaffa była kiedyś posiadłością Branaffa, a potem przeszła na własność funduszu edukacyjnego kwaków. Dzieciaki opowiadały sobie, że budynek jest nawiedzony. Nie straszą jednak duchy zmarłych tu dobrych ludzi, ale nieszczęśliwych spadkobierców, których eksmitowano, by zrobić miejsce na prywatną szkołę.

Choć Ethan nie kupował tych nonsensów, główną salę wykładową z jej starymi olejnymi portretami ludzi przyglądających się z dezaprobatą tym wszystkim, którzy trafili w pole ich widzenia, uważał za przerażającą.

– Wiesz, że prezydent dowie się o wszystkim, Zoe? O bójce, o tym, jak się wyrażałaś – powiedział agend Findlay.
– Że już nie wspomnę o dyrektorze Skillingsie.

– Jasne, oczywiście, niech pan robi, co do pana należy. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. Zmarszczyła brwi. Położyła dłoń na głowie brata. – Wszystko w porządku, Eth?

– Nic mi nie jest. – Odepchnął ją. – Przynajmniej fizycznie.

Godność to inna sprawa, zbyt skomplikowana, by chciało mu się teraz o niej myśleć.

– W takim razie gramy jak gdyby nigdy nic – zdecydował Findlay. – Zaraz macie zajęcia w sali numer pięć.

– Jasne. – Zoe tylko machnęła ręką. – Mielibyśmy o nich zapomnieć? Też coś.

Dzisiaj rano wykładownicą miała być Isabelle Morris, członek rzeczywisty waszyngtońskiego Instytutu Polityki Międzynarodowej i absolwentka Szkoły Branaffa. W odróżnieniu od większości kolegów, Ethan nie mógł się doczekać opowieści o jej doświadczeniach na Bliskim Wschodzie. Miał nadzieję, że pewnego dnia przyjdzie mu pracować dla ONZ. Bo czemu nie? Ma się te kontakty.

– Da nam pan kilka sekund? – spytała Zoe. – Chcę porozmawiać z bratem... w cztery oczy.

– Przecież powiedziałem, że wszystko w porządku. Nic się nie stało – zaprotestował Ethan. Siostra uciszyła go gniewnym spojrzeniem.

– Mówi mi to, czego nie powiedziałby panu – dodała, widząc, że agent przygląda się jej nieufnie. – A prywatna rozmowa to ostatnio dobro trudno dostępne, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Bez urazy..

– Nie ma sprawy. – Findlay spojrział na zegarek. – W porządku, ale mogę wam dać tylko dwie minuty.

– Niech będą dwie. Proszę się nie obawiać, zdążymy. – I Zoe zamknęła za agentem ciężkie drewniane drzwi. A potem, nie zwracając uwagi na brata, przeszła pomiędzy rzędami starych ławek na koniec sali i usiadła wygodnie na grzejniku pod oknem.

Z kieszeni niebieskoszarej marynarki mundurka szkolnego wyjęła małe pudełeczko z laki. Ethan rozpoznał je od razu. Pamiątka z Pekinu. Zoe była tam zeszłego lata z rodzicami.

– Umrę, jeśli nie zapalę – szepnęła. Uśmiechnęła się

złośliwie. – A ty? Masz ochotę?

Ethan obejrzał się na drzwi.

– Nie chciałybym przegapić tego wykładu... – zaprotestował słabo.

Siostra tylko przewróciła oczami.

– No nie... ple, ple, ple, Bliski Wschód, ple, ple, ple. Możesz to sobie obejrzeć w CNN, kiedy tylko chcesz. A jak często masz szansę nawiać Secret Service? No weź!

Ethan znalazł się w sytuacji bez wyjścia i doskonale o tym wiedział. Albo zrobi z siebie ofiarę losu, znowu, albo nie wysłucha wykładu, na który czekał przez cały tydzień.

– Nie powinnaś palić – zaprotestował słabo.

– A ty nie powinieneś tylko jęczeć i jęczeć. Gdybyś nie jęczał, to może dupki w rodzaju Townsenda dałyby ci wreszcie spokój.

– To dlatego, że tata jest prezydentem – zaprotestował Ethan. – Tylko dlatego, jasne?

– Nie. To dlatego, że jesteś oferumą. Widziałeś, żeby śmierdziel czepiał się mnie? – Zoe otworzyła okno. Zręcznie, bez wysiłku, zeskoczyła na trawnik. Miała się za drugą Angelinę Jolie. – Jeśli nie idziesz ze mną, to przynajmniej daj mi minutkę, dobrze, babciu?

Z tymi słowy zniknęła.

Ethan jeszcze raz obejrzał się przez ramię, a potem zrobił jedyną rzecz, która pozwoliła mu zachować resztkę szacunku dla samego siebie. Poszedł w ślady siostry i uciekł przez okno, tym samym wpadając w kłopoty nie do wyobrażenia.

Nikt by ich sobie nie wyobraził.

Rozdział 3

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi do sali wykładowej, agent Clay Findlay sprawdził klamkę; w porządku, mógł je w każdej chwili otworzyć. Potem spojrzał na breitlinga na przegubie dłoni.

– Daję im jeszcze czterdzieści pięć sekund. Potem T. Rex idzie na wykład, a Zmierch wprost do gabinetu dyrektora – powiedział do wpiętego w mankiet koszuli mikrofonu. Prezydent i pierwsza dama jasno dali do zrozumienia, że dwójka ich dzieci ma normalnie uczestniczyć w życiu szkolnym, także w konfliktach szkolnych... w pewnych, rozsądnych granicach. Oczywiście łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Zoe Coyle nie zawsze postępowała rozsądnie. W rzeczywistości prawie zawsze postępowała nierozsądnie. Nie była złym dzieckiem, tylko po prostu dzieckiem. Samowolnym, sprytnym i bardzo oddanym młodszemu bratu.

– Oberwie mi się za to, bez dwóch zdań – powiedział agent cicho do mikrofonu. – Ale coś wam powiem. Ten Ryan Townsend to mały fiutek. I nikt nic nie słyszał, jasne?

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni – odpowiedział Musgrove. – Dostał, na co zasłużył. Z nawiązką. Zoe nieźle przylała dupkowi.

W słuchawce rozległ się cichy śmiech. Tatko Ryana Townsenda był przewodniczącym mniejszości w Izbie Reprezentantów. Wściekle przeciwstawiał się każdej decyzji prezydenta, tej podjętej i tej zaledwie pomyślanej. Niekiedy szkoła wydawała się pomniejszoną wersją Waszyngtonu. Bo i czasami nią była.

Findlay jeszcze raz spojrzął na zegarek. Dwie minuty. Dzieciom Coyle'a przerwa właśnie się skończyła. Pora, żeby wszyscy wrócili do pracy.

– Panie i panowie, czas na nas – powiedział do mikrofonu, po czym zastukał dwa razy w drzwi do sali wykładowej i zaraz je otworzył.

– Młodzieży, dość tego dobrego. Gotowi jesteście... o do diabła!

Sala była pusta.

Nie, nie, nie... tylko nie to. Do diabła z tymi dzieciakami! Do diabła z Zoe!

Serce waliło mu w piersiach coraz szybciej, biło rekord, przynajmniej na dziś. Przebiegł wzrokiem po oknach ze szprosami w tylnej ścianie. Przyglądając się im, jednocześnie nadawał na wszystkich kanałach, tak by słyszeli go nie tylko ludzie z jego zespołu, lecz także Centrum Operacyjne.

– Do dowództwa, Apex Jeden. Zmierzch i T. Rex nieobecni. – Mówił szybko, lecz spokojnie. Nie ma mowy o panice. – Powtarzam, oboje podopieczni nieobecni.

Podszedł do rzędu okien. Wszystkie były zasunięte, ale jednego nie zabezpieczono. Rzut oka na zewnątrz niczego mu nie powiedział. Agent zobaczył tylko soczystą zielenią boisk i ogrodzenie na południowym krańcu terenów szkolnych.

– Findlay. Co się dzieje? – W drzwiach stanął Musgrove.

– Tędy prysnęli – powiedział agent. – Zabiję ją. Naprawdę ją zabiję. Powiniennem zrobić to wcześniej. – Ucieczka to był pomysł Zoe, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Pewnie tak sobie wyobrażała przygodę albo żart z

ochroniarzy.

– Dowództwo, Apex Jeden. Zmierzch i T. Rex nadal nieobecni. Zarządzam natychmiastową blokadę wszystkich wjazdów i wyjazdów...

Przerwał mu hałas na linii, krzyki, zgrzyt metalu o metal, dwa strzały.

– Dowództwo, tu Apex Pięć – rozległ się inny głos. – Szara zabudowana furgonetka. Właśnie przebiła się przez wschodnią bramę. Jedzie Wisconsin na południe z dużą prędkością. Sto do stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Potrzebne natychmiastowe wsparcie.

Rozdział 4

Sierżant patrolu policji miejskiej Bobby Hatfield dostrzegł szarą furgonetkę przejeżdżającą co najmniej dziewięćdziesiątką przez centrum Georgetown niemal dokładnie w tej samej chwili, gdy przez radio odezwała się centrala.

– Do wszystkich jednostek w obszarze dwa, zero, sześć. Prawdopodobne porwanie z użyciem broni. Dwójka dzieciaków, powtarzam: dwójka. Szara zabudowana furgonetka, jedzie z dużą szybkością Wisconsin, kwadrant północno-zachodni. Ścigana przez Secret Service. Proszą o wsparcie. Należy przejść na kanał dwadzieścia trzy.

Hatfield włączył syrenę. Zawrócił na trzy. Obok niego przemknął czarny yukon tak charakterystyczny, że nie sposób było się mylić. Po przełączeniu radia na podany kanał usłyszał podawane na bieżąco informacje o pościgu.

– Jedziemy na południe. Tablica Dystryktu Kolumbii, numer rejestracyjny DMS osiem, dwa, trzy...

– Secret Service, tu policja, jednostka z dwa, zero, sześć – włączył się do komunikatu. – Jestem tuż za wami.

– Przyjąłem, policja.

Hatfield przyspieszył. Yukon ustąpił mu miejsca, pozwolił się wyprzedzić. Strzałka prędkościomierza minęła setkę.

Poziom adrenaliny przekroczył wszystkie normy. A w tej sytuacji prawdopodobieństwo, że coś pójdzie źle, było o wiele większe od prawdopodobieństwa, że pójdzie dobrze.

Na M Street furgonetką zarzuciło; przechyliła się w lewo i przez chwilę wyglądało na to, że może się przewrócić. Weszła w zakręt za szeroko, uderzyła bokiem w dwa zaparkowane samochody, ale pojechała dalej. Hatfield przyhamował, skręcił, ostro dodał gazu, miał to we krwi. Zbliżył się do furgonetki. Trochę.

– Podejrzany jedzie M na wschód – zameldował przez radio. – Prowadzi jak szaleniec. Gdzie to cholerne wsparcie? Pospieszcie się, ludzie!

Dojechali do Pennsylvania Avenue tuż przed Rock Creek. Furgonetka odbiła w prawo. To była szersza ulica, więc kierowca jeszcze dodał gazu. Na moście niebezpiecznie zarzucało samochodem. Hatfield zamrugał kilkakrotnie, musiał uniknąć efektu widzenia tunelowego. Wszędzie wokół pełno samochodów i pieszych. Większego zamieszania nie sposób sobie wyobrazić.

Całym sobą czuł, że to nie może się dobrze skończyć.

Na Twenty-eight Street dołączył wreszcie do niego drugi oznakowany radiowóz. Hatfield przez radio rozpoznał głos kierowcy. James Walsh, kumpel z tej samej jednostki, ale i jego policyjna nemezis.

– Co tam u ciebie, Robert?

– Pieprz się! A jak myślisz?

– Jedziemy Pennsylvania na południowy wschód – zameldował Walsh jak gdyby nigdy nic. – Podejrzany prowadzi wyjątkowo niepewnie. W samochodzie jest chyba tylko jedna osoba, ale trudno powiedzieć. Lada chwila będziemy na Washington Circle i... cholera! Bobby, uważaj! Uważaj!

Na rondzie furgonetka skręciła nie w prawo, lecz w lewo, pod prąd. Prywatne samochody i taksówki usiłowały usunąć się jej z drogi. Z punktu widzenia siedzącego w swym

radiowozie Hatfielda wyglądało to trochę tak, jakby próbowało się rozstąpić Morze Czerwone. Nagle naprzeciw furgonetki wyrósł autobus, za wielki, żeby dało się go po prostu ominąć. Kierowca autobusu skręcił ostro w prawo, ale na niewiele się to zdało. Jednego dokonał – furgonetka miała przed sobą szeroki, solidny cel.

Hatfield przydepnął pedał hamulca. Zatrzymał się w długim poślizgu. Nawet wówczas nie spuścił oka ze ściganego samochodu. Widział, jak nie zmniejszając prędkości, uderza w sam środek reklamy Neimana Marcusa na boku autobusu. Maski złożyła się niczym akordeon, szkło prysnęło na wszystkie strony, tył uniósł się na dobre trzydzieści centymetrów, opadł i furgonetka znieruchomiła.

Hatfield wyskoczył z samochodu. Walsh deptał mu po piętach. To chyba cud, ale wydawało się, że autobus odbywał przejazd techniczny i siedział w nim tylko kierowca. Niemniej Washington Circle natychmiast zablokowały samochody. Nie obyło się też bez stłuczek.

Kilkanaście sekund wystarczyło, by na miejscu pojawiło się jeszcze parę oznakowanych radiowozów. Nagle zaroilo się od umundurowanych funkcjonariuszy, ale to właśnie Hatfield jako pierwszy dobiegł do tylnych drzwi furgonetki. Blacha zabudowy była wgnieciona, chromowana klamka poszła w drzazgi.

Po pościgu serce ciągle waliło mu jak młotem, aż w uszach czuł jego szybkie uderzenia. Przecież to jeszcze nie koniec. Co, do diabła, czeka go po drugiej stronie tych drzwi? Uzbrojeni przestępcy? Zwłoki?

Może jeszcze gorzej? Zwłoki dzieci?

Rozdział 5

Kiedy doszło do wypadku, pierwszy z tego łańcucha zdarzeń, nie wiedziałem nawet, że zniknęły dzieci prezydenta. Przez radio usłyszałem tylko o prawdopodobnym porwaniu. Nikt z nas nie wiedział wówczas więcej.

Właśnie jechałem, już po służbie, K Street. Radio poinformowało mnie, że jestem dwie przecznice od miejsca wypadku. Do Washington Circle dotarłem przed karetkami pogotowia. Musiałem przynajmniej spróbować pomóc.

Dojechałem na miejsce w niespełna sześćdziesiąt sekund. Mundurowy drobił za mną, rozwijając żółtą taśmę. Podeszedłem do rozbitej furgonetki. Pierwsze, co zobaczyłem, to szeroko otwarte tylne drzwi, zaraz potem zorientowałem się, że nie ma tu żadnego śladu ofiary porwania. Poza tym wszędzie pełno było agentów Secret Service. Niektórzy mieli na sobie typowe ciemne garnitury, inni tweedowe marynarki, krawaty z dzianiny, garniturowe koszule i sportowe spodnie. Wyglądali jak nauczyciele, ale spiralnie zwinięte przewody za uszami zdradzały ich prawdziwą tożsamość.

Dzięki legitymacji, którą wymachiwałem na prawo i lewo, udało mi się dotrzeć do furgonetki. Mogłem zobaczyć jej wnętrze na własne oczy. Kierowca, przyciśnięty do siedzenia przez blok silnika wepchnięty do kabiny siłą uderzenia,

odniósł obrażenia typowe w tej sytuacji. Mocno krwawił. Prawe ramię sterczało w górę i w bok. Ludzkie ramiona nie wyginają się pod takim kątem.

Facet wyglądał na trzydzieści parę lat. Miał kręcone, czarne włosy i rzadką bródkę z kępką włosów pod dolną wargą, która wyglądała tak żałośnie jak on sam.

Tylko... gdzie jest ofiara? Daliśmy się oszukać? Facet odwracał naszą uwagę? Już wtedy zakładałem tę możliwość. Poczulem nagły przypływ adrenaliny. Odwrócić uwagę od czego? Co jeszcze zdarzyło się w tej szkole?

– Przytomny? – spytałem stojącego obok, odzianego w tweedy agenta.

– Trudno powiedzieć. Nie możemy się z nim porozumieć. Pewnie szok. Nie wiemy nawet, czy mówi po angielsku.

– Ani śladu porwanego dzieciaka?

Agent tylko pokręcił głową, a potem podniósł rękę z dwoma wyprostowanymi palcami.

– Dwójki dzieciaków.

Doznałem déjà vu, i to najgorszego rodzaju. Przed kilku laty pracowałem z Secret Service przy innym podwójnym porwaniu, dokonanym przez potwora, który nazywał się Gary Soneji. Przeżyło tylko jedno dziecko. Sam ledwie z tego wyszedłem. Życie uratował mi John Sampson.

Jeszcze trochę pomachałem legitymacją, dzięki czemu dotarłem pod okno od strony kierowcy. Szybko rozprysła się na kawałki.

– Policja. Gdzie dzieciaki? – spytałem prosto z mostu. Musiałem założyć, że coś wie. Nie było czasu na cackanie się z nim.

Kierowca oddychał szybko, urywanie. Twarz miał bez wyrazu, jakby jego ciało wiedziało, że bardzo cierpi, ale mózg nie przyjmował tego do wiadomości. Jego źrenice były rozszerzone. Pewne symptomy mogły świadczyć o użyciu fencyklidyny, ale ten facet właśnie zafundował gliniarzom pościg samochodowy przez miasto. Nie słyszałem, by ktoś

dał radę coś takiego zrobić po anielskim pyle.

Nie odpowiedział, nie skinął głową, nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Spróbowałem jeszcze raz.

– Słyszysz mnie?! – krzyknąłem. – Powiedz mi, gdzie są dzieciaki, jeśli chcesz, żebyśmy ci pomogli!

Dojechała karetka. Dwaj sanitariusze podbiegli i zaczęli mnie odpychać. Nie miałem zamiaru nigdzie się ruszyć. Gdzieś za mną odpalił hydrauliczny silnik szczęk życia. Facet za kierownicą potrzebował ich, bez dwóch zdań, ale najpierw musiał mi odpowiedzieć na pytania.

– Co wiesz? Pracujesz dla kogoś? Powiedz, gdzie są dzieci!

Zdawało się, że twarz rannego trochę się zmieniła. Nadal oddychał płytko, ale kąciki jego warg uniosły się lekko, a oczy zwężyły, jakby ktoś opowiedział mu żart, którego nikt oprócz niego nie słyszał. A może nie mógł zrozumieć? Wreszcie wyrzucił z siebie odpowiedź, a wtedy z ust trysnęła mu krew, załazał pociętą kierownicę i kolumnę kierownicy.

– Jakie dzieci, człowieku?